

Stanisław Szydłowski s.Wacława i Weroniki, ur.3.III.1921r.
w USA, m.Wyandote, stan Michigan.

W 1939 roku mieszkaliśmy na Kresach Wschodnich we wsi Sielec, przy stacji kolejowej Niemen w powiecie lidzkim. Razem z ojcem pracowałem wtedy w fabryce dykt klejonych "Bracia Kunde i Synowie" /właściciele byli Żydami/. Matka zajmowała się domem.

Rankiem 1 września 1939 roku ok. godziny 5 rano przyleciały niemieckie samoloty i zbombardowały most na torach kolejowych na rzece Niemen. Radio było tylko u dyrektora fabryki, więc o wybuchu wojny dowiedzieliśmy się oficjalnie dopiero wieczorem. Fabryka stanęła, nie pracowaliśmy i taka sytuacja trwała do 17.IX.1939 roku. 17 września wraz ze swoją matką i siostrą kopaliśmy ziemniaki niedaleko rzeki Niemen, na działce, którą udostępnił nam gospodarz, u którego mieszkaliśmy. Wieczorem, ok.godziny 17 zobaczyliśmy, że jakieś wojsko przeprawia się przez bród na Niemnie. Gdy się do nas zbliżyli, zaczęli rozmawiać, wtedy dowiedzieliśmy się, że to rosyjscy żołnierze.

W pierwszej chwili poprosili, czy mogą wziąć sobie ziemniaków. Matka im pozwoliła. Wtedy przeszli z ziemniakami bliżej drogi. Rozpalili ognisko i w puszkach po konserwach gotowali te ziemniaki i jedli je. Nie mieli swoich kuchni polowych. Rozmawiali z nami, pytali kim jesteśmy i gdzie pracujemy? Zapewniali nas, że nic z nami złego się nie stanie.

Około 20.września Sowieci uruchomili fabrykę i rozwiesili plakaty, żeby każdy się zgłosił na swoje stanowisko pracy. Ojciec pracował w fabryce jako palacz, przy kotłach wysokoprzężnych, a ja obsługiwałem maszynę parową, która napędzała fabrykę.

Od razu były braki w zaopatrzeniu, sklepy były pozamykane, większość właścicieli pouciekała. W fabryce każdy bał się swojego cienia, byle co mogło być uznane za sabotaż. Właściciele fabryki-Żydzi pochodzili z Łodzi i prawdopodobnie tam wyjechali. Sowieci postawili swojego dyrektora. Na początku aresztowano tylko jednego człowieka - cieślę Karnopola pod zarzutem niewywiązywania się z obowiązków służbowych. Siedział w więzieniu trzy miesiące. Potem wrócił i ostrzegał wszystkich: "Róbcie tak,

by się tam nie dostać!

W 1940 roku, o godzinie 3 nad ranem, w lutym /mroz był wtedy dochodzący do -40 stopni/, widzieliśmy z okna naszego domu, jak wożono całe rodziny na saniach i eskortujących ich NKWD-zistów, którzy dowozili je do wagonów. Wagony były ustawione wtedy na boczniczy, przy stacji kolejowej Niemen. Zapełnili wtedy ok.20 wagonów.

Moi rodzice spakowali się również i ubrani czekaliśmy do rana, zastanawiając się, kiedy i po nas zajadą? Do godziny 6 rano nikt po nas nie przyszedł i wtedy wyszliśmy z ojcem do pracy, do fabryki. Po drodze i w fabryce nikt nas nie zaczepiał, a w pracy dowiedzieliśmy się, że wywożą przeważnie osadników wojskowych, którzy po 1920 roku otrzymali działki, policjantów i ich rodziny, nauczycieli i niektórych kolejarzy.

Administracja sowiecka traktowała nas raczej obojętnie, specjalnie nam życia nie utrudniali. Za to Żydzi byli teraz górą nad Polakami i wyśmiewali się z nas, mówiąc "gdzie wasza Polska?". Niektórzy Białorusini byli do nas dobrze ustosunkowani, ale komuniści białoruscy byli nam bardzo nieprzychylni, zwłaszcza byli więźniowie Berezy Kartuskiej.

W pewną niedzielę, po wejściu sowieckiego wojska, szliśmy, jak zwakle grupą do kościoła. Nasza parafia była w Jelnej, ale do kościoła chodziliśmy do Waśkiewicz, w którym proboszczem był ksiądz Nowaczuk. Droga do kościoła prowadziła przez wieś i las. W tej wsi, nazywała się ona Hancewicze, wyskoczyło do nas kilku wyrostków w wieku od 13 do 17 lat. W klapach marynarek mieli poprzypinane czerwone wstążeczki i z miejsca spytali się dokąd idziemy? My im więc powiedzieliśmy, że idziemy, jak co niedzielę do kościoła. Nakazali nam, żebyśmy się wrócili. My jednak szliśmy dalej, a oni zaczęli nas obrzucać kamieniami. W kościele powiedzieliśmy księdzu jaka jest sytuacja. Ksiądz nam natomiast doradził, żeby wracać ścieżkami nad Niemnem. Droga była to trochę dalsza, ale bezpieczniejsza. Szczęśliwie doszliśmy do domu.

Później kościół w Waśkiewiczach zamieniono na magazyn, ale ksiądz go nie opuścił, tylko pracował w nim jako magazynier przy kółchozie.

W miarę spokojnie było do "wyborów" 22 września 1939 roku. Przed stacją kolejową odbywały się mityngi, na które chodziło się ze strachu. "Wybory" odbywały się w szkole. Był kącik zagrodzony dziurawym kocem, gdzie można było rzekomo skreślać, ale nie

widziałem, żeby na taki czyn ktoś sobie pozwolił. Po otrzymaniu karty wyborczej, do urny wyborczej, przechodziło się przez szpaler funkcjonariuszy NKWD, którzy mieli po 2 nagany powtykane w cholewy butów, tak że każdy szedł grzecznie do urny i wrzucał kartę wyborczą. Ogłoszono potem, że głosowało prawie 100% ludności i że przyjęto nas do Republiki Białoruskiej.

Po wyborach zwiększono dyscyplinę. Ciągłe słysząc było o aresztowaniach, nie wolno było zbierać się w grupach.

Napływowej ludności rosyjskiej nie było wiele: lekarka, dyrektor, kierowca pracujący w NKWD. Przez Rosjan obsadzona była częściowo stacja kolejowa. W fabryce była rosyjska wartownia i druga na moście na Niemnie. Dyrektor-Rosjanin był okropny w stosunku do pracowników.

Pobliski majątek pozostawiono w spokoju, a wieś Sielec była zbyt uboga, by ją ograbić. Nie zrobiono z niej kołchozu.

Do Lidy jeździłem razem ze szwagrem w tym okresie i tam widzieliśmy, jak NKWD-ziści prowadzili brzegiem jezdnii aresztowanych. Wprowadzono reglamentację na chleb, cukier, mąkę. W fabryce były przydziały dla pracowników. Jednakże wszystkiego starczało ledwie, ledwie. Ratowało nas to, że ludzie ze wsi, posiadający gospodarstwa nie brali swoich przydziałów dla siebie, tylko odsprzedawali nam je.

W końcu czerwca 1941 roku weszli Niemcy. Walk w okolicy nie było, ale bombardowali fabrykę. Sowietów na 3 dni przed ich wkroczeniem niepostrzeżenie uciekli. Słyszeliśmy strzały, naokoło, na horyzoncie widać było łuny pożarów. Obserwowaliśmy je z komin fabrycznego. W dniu wkroczenia Niemców, całą grupą młodzieży, zebraliśmy się przy fabryce. Na rowerach przyjechał patrol niemiecki - 10 żołnierzy. Zaskoczyli nas: kazali nam podnieść ręce do góry i posadzili nas przy płocie, nogi wyciągnięte, ręce na kolanach. W tym czasie było dosyć ciemno i zostawili przy nas /było nas 12 osób/ dwóch wartowników. Siedzieliśmy tak do rana. Rankiem dołączyło jeszcze ok. 15 Niemców i dwójkami trzeba było się ustawić, a następnie poprowadzili nas w kierunku wsi. Doprowadzili nas do budynku pana Lejzera, mówiącego biegle po niemiecku Polaka. U tego pana nocował oficer niemiecki i ten Niemiec wyszedł do nas z gospodarzem. Wypytywał się o nas, a pan Lejzer mówił, że jesteśmy pracownikami fabryki: Polacy i Białorusini. Pytał się dalej, co robiliśmy przy fabryce, a my na to że spotkaliśmy się tam i tylko rozmawialiśmy. Wtedy dopiero oficer nas zwolnił, ale nie pozwolił nam rozejść się do domów, tylko musieliśmy iść

do wsi i czekać, aż pozwolą nam się rozejść.

Trzeciego dnia po wkroczeniu, Niemcy przysłali do ojca gońca z poleceniem, by stawiał się do pracy, celem uruchomienia fabryki. Gdy ojciec przyszedł do zakładu, to było już tam wielu pracowników. Niemiec wygłosił krótkie przemówienie, że fabryka przechodzi pod zarząd niemiecki i wszelkie kradzieże i sabotaż będą karane śmiercią, a sam zakład ma być uruchomiony w ciągu dwóch dni i wszyscy mają normalnie pracować. Jeżeli ktoś nie chciałby się zastosować, to mógł przejść na lewą stronę. Zapowiedział swój powrót za dwa dni. W ten sposób fabryka zaczęła pracować.

We wsi stacjonowała Brückewachta - ochrona mostu, którą częściowo stanowili Litwini w swoich mundurach. Most ten łączył drogę z Lidy do Nowogródka i Baranowicz. Administrację lokalną stanowili Polacy. Dyrektorem fabryki był volksdeutsch-Serafin, jego zastępcą był Polak Mejren, który po 1944 roku zginął na Sybirze, w łagrze.

Niemcy specjalnie nie robili nikomu krzywdy. O wiele gorsi od nich byli Litwini. Niemcy rozstrzelali kilku Żydów, uciekinierów z Łodzi, jeszcze z 1939 roku i komunistów. Egzekucje odbyły się pod lasem. Natomiast Litwini szykanowali wszystkich. Bili pałakami po głowach ludzi, którzy nie zdejmowali przed nimi czapek. Na szczęście Litwini nie byli u nas długo. Potem całość przejęli Niemcy.

Chleb był ściśle racjonowany - kilogram na osobę, ale praktycznie można go było kupić więcej. Głodu raczej nie było. Najbiedniejszy był dyrektor Mejren, który nie umiał kombinować. Pomagaliśmy mu w ten sposób, że w Grodnie kupowało się machorkę i na wsi sprzedawało się ją za 100 złotych za paczkę lub wymieniało się ją na produkty żywnościowe.

Białorusini odnosili się do nas dobrze. Niemcy zorganizowali białoruską policję. U nas we wsi było ich 5-6, ubranych w granatowe mundury z szarymi mankietami i kołnierzykami. Zachowywali się raczej przyzwoicie.

Głównym inspektorem był w fabryce Józef Grossman, były carski oficer, w wieku 65-67 lat, rosyjski Niemiec nadwożżański, uciekinier z Rosji. Był inspektorem fabryk dykt u nas, w Szczuczynie /ta fabryka należała do Kołopackich/ i w Mostach. Oprócz tego podlegały mu trzy tartaki. Inspektor ten często ze mną jeździł na inspekcje rosyjskim samochodem.

Podczas jednego z wyjazdów, do Szklanej Huty-"Niemen", należącej do braci Stolle, a znajdującej się w Brzozówce, jechaliśmy Carskim Gościńcem i skracając drogę do szosy, która prowadziła z Lidy do Nowogródka, spotkaliśmy się z grupą żołnierzy z AK, która szła rowem, ustawiona w tyralierę, po jednej i po drugiej stronie drogi. Niemiec zauważył ich nagle, a ponieważ mówił po rosyjsku, krzyknął: "Pan Staś, czto eto takoj-e!" Więc ja na to, że nie wiem, a on krzyknął "bandyci!" i chwycił za automat, który stał oparty o siedzenie samochodu, obok naszych nóg. Ja również chwyciłem za jego automat i nie pozwoliłem mu strzelić, potem powiedziałem: "Gospodin Grossman, nie strzelajcie, bo nie mamy żadnych szans, zabiją nas". On jednak upierał się, że to są bandyci. Przyznałem mu rację: "Tak, zgadza się, ale oni nas nie ruszają, więc powoli jedźmy". Działaliśmy zgodnie z poleceniem komendanta AK "Ragnara"-Zajączkowskiego i porucznika "Bartka", lokalnego komendanta, że w razie spotkania się z grupą partyzantów AK, jeżeli oni sami nie zatrzymają samochodu, to żeby jechać dalej, ale powoli. Na tym terenie był tylko jeden samochód, właśnie u nas w fabryce, tak że partyzanci dobrze mnie znali.

Dojechaliśmy do Brzozówki, do huty. Niemiec nie odzywał się do mnie wcale. Wystąpił na niego pot: zdjął czapkę i chusteczką ocierał skroń. W Szklanej Hucie wziął automat na ramię i ~~poszedł~~ poszedł do zakładów, do biura. Odstawiłem samochód na bok, wyjąłem ze skrytki swój pistolet, bo byłem pewien, że Niemiec zadzwoni po gestapo. Trwało to ponad godzinę, zanim Grossman wrócił do samochodu. Podeszedłem do niego, a on powiedział tylko, że wracamy do domu. Powróciliśmy spokojnie do fabryki. Niemiec wysiadł przed bramą, a ja wjechałem na teren zakładu. Ukryłem pistolet i obserwowałem bramę i okolice, czy nie ma w pobliżu gestapowców. Potem wróciłem do domu.

Na drugi dzień w pracy, Niemiec stał przed garażem. Otworzyłem garaż, a za mną wszedł inspektor Grossman. Zbliżył się do mnie i poprosił, żeby nikomu nie opowiadać o tym, co widzieliśmy poprzedniego dnia na drodze, bo inaczej rozstrzela nas gestapo. tłumaczył się tym, że on powinien użyć broni, a ja go przed tym powstrzymałem. Przyrzekłem mu oczywiście, że nikomu o tym nie powiem. Od czasu tego wydarzenia Niemiec był dobrze do mnie ustosunkowany i dopiero od tego czasu miałem możliwość wykonywania w pełni swoich zadań konspiracyjnych bez większego ryzyka.

Za okupacji sowieckiej nie było w naszej okolicy przejawów działalności konspiracyjnej. Wszyscy w okolicy zbyt dobrze się znali, by ryzykować.

Mniej więcej od jesieni 1942 roku kolega Janek Rożnowski często rozmawiał ze mną i prosił mnie, żebym zaszedł do pani Marysi Zdanowicz. Panią tą znałem jeszcze z okresu sprzed 1939 roku, kiedy to prowadziła sklep spożywczy. Po którejś rozmowie udałem się do niej następnego dnia. Pani Zdanowicz oświadczyła mi, że pracę, którą wykonuję w fabryce, można byłoby wykorzystać w pracy dla konspiracji do przewożenia meldunków i bibuły. W okolicy Lidy wychodziła podziemna gazетка "Świt". Pani Zdanowicz powiedziała, że jeżeli teraz wyrażę zgodę, to na miejscu jest pan, który ułatwi mi wstąpienie do AK. W drugim pokoju siedział człowiek w mundurze kolejowym. Pani Zdanowicz poznała nas i umówiła za trzy dni w jej mieszkaniu.

Przyszedłem wieczorem. Był ten sam człowiek. Pierwsze jego słowa, to było pytanie: "Czy chce pan wstąpić do Armii Krajowej?"

Wyraziłem oczywiście zgodę. Pan ten wyjął z lewej kieszonki krzyż, na który złożyłem przysięgę. Po przysiędze powiedział mi, że w szeregach partyzanckich w lesie nie jestem potrzebny, ale mam pracować na swoim stanowisku i wykonywać zlecenia. Następnego dnia spotkałem kolegę Janka Rożnowskiego. Oświadczył mi, że wie o wszystkim, tylko teraz kazał wybrać mi dla siebie pseudonim. Więc ja bez zastanowienia powiedziałem "Kropka".

Ponieważ jeździłem 1,5-tonowym samochodem ciężarowym GAZ-A i przewoziłem nim różne artykuły spożywcze i techniczne, pobierałem przy okazji w Lidzie, w magazynie części metalowych amunicję i broń krótką zapakowaną w skrzynie po gwoździach. Często nawet nie wiedziałem, co te skrzynie zawierają. Cały ładunek przekazywałem w fabryce panu Gutkowskiemu. Był to nauczyciel w wieku 50-55 lat, w AK w stopniu sierżanta. To były czynności, które powtarzały się bardzo często. Obsługiwałem również akcje partyzanckie, np. przewoziłem rannych po bitwie AK z sowiecką partyzantką pod Olszynkami. AK-owcy przekroczyli wtedy Niemen, by chronić przed sowiecką partyzantką polskie rodziny.

Pewnego razu dostałem polecenie od dyrektora i dokument na przejazd do wsi Zarzeczany po słomę. Pojechał wtedy ze mną dyrektor Mejren. Kazał mi podjechać pod stodołę, a tam było 6 rannych żołnierzy z plutonu "Freda". Na samochód wrzuciliśmy

trochę słomy, na to położyliśmy koce i płaszcze i załadowaliśmy rannych, przykrywając ich lekko słomą. Ich dowódca "Fred" wsiadł ze mną do kabiny i powiedział, że jedziemy w kierunku Osiliszek. Dyrektor Majren został w Zarzeczanach, najął kilka furmanek, na które załadowano słomę dla fabryki i furmankami zawieziono ją do zakładu.

Ja wraz z rannymi pojechałem bocznymi drogami na spotkanie z partyzantami. Przed miasteczkiem Bielica czekał na nas goniec, jak się później dowiedziałem, przysłany przez por. "Bartka" i powiedział nam, że przed nami jest wolny odcinek drogi, a na dwunastym kilometrze będzie czekał na nas por. "Bartek". Dowódca spotkał nas w lesie, polecając nam skręcić w ten las i przejechać ok. 200 metrów. Tam czekały już na nas furmanki. Rannych wraz ze słomą przeładowano na nie i por. "Bartek" zwolnił mnie do fabryki.

Cała ta akcja pod Olszynkami miała miejsce wczesną wiosną 1943 roku. Miejscowi Białorusini zdradzili polskich partyzantów, powiadamiając o ich pobycie sowiecką partyzantkę. Wtedy właśnie wywiązała się walka, której skutkiem byli właśnie ci ranni, których przewoziłem do lasu.

W 1943 roku AK odbiła w Lidzie więźniów¹ z więzienia miejskiego. Inna akcja odbicia więźniów odbyła się pod Lidą, kiedy to z pobliskiego tartaku partyzanci zdjęli niemieckich wartowników i wypuścili ok. 60 osób. W okolicy zrywane były również tory kolejowe i niszczone słupy telefoniczne. Często były również potyczki z sowieckimi partyzantami i oczywiście z Niemcami.

W Lidzie Niemcy stosowali akcje odwetowe. Pewnego razu rozstrzelali 20 osób, wcześniej wybranych i aresztowanych. Byli to wtedy przeważnie miejscowi komuniści. AK również wykonywało wyroki na przedstawicielach władzy sowieckiej z lat 1939-1941 i konfidentach Gestapo.

W mojej okolicy wykonano raz taki wyrok. Rozstrzelano wtedy za stacją kolejową Niemen 2 lub 3 kolejarzy niemieckich.

W czasie przewożenia przeze mnie bibuły zawsze byłem kryty przez Grossmana, który jeździł ze mną na swoje inspekcje i nawet się nie domyślał, że w samochodzie znajdują się podziemne gazetki. W Lidzie, bardzo często gazetki przejmował ode mnie sam komendant Zajączkowski-"Regner".

3 maja 1943 roku odbyła się akcja na posterunek niemiecki, położony ok. 10 kilometrów od stacji kolejowej Niemen. Posterunek ten mieścił się w majątku i obsadzało go 10 Niemców. Nasi partyzanci dostali rozkaz, by ich rozbroić. Akcja rozpoczęła się w samo południe i trwała do godziny 3 po południu. Ja razem z dyrektorem Mejrenem byłem wtedy w Lidzie i właśnie dyrektorowi powiedziano na placówce AK, która tam się mieściła, że akcja się nie udała i trzeba pojechać w pobliże majątku, by zabrać rannych, których ukryto na polu, w pszenicy. Gdy przyjechaliśmy tam, szybko zabraliśmy rannych i bocznymi drogami pojechaliśmy w kierunku Wasiliszek. Tak, jak poprzednio rannych przejmowano w lesie za Bielica.

Gdy jechałem z rannymi, na czwartym kilometrze, Niemiec stojący za słupem telefonicznym strzelił do mnie z karabinu maszynowego. Zostałem wtedy ranny w rękę, bok i pośladek. Szybko przejechałem do pierwszego zakrętu i wtedy poczułem się bardzo osłabiony. Podoficer AK, który jechał wtedy ze mną, pomógł mi się przesiąść, przejął kierownicę i doprowadził wóz do celu.

Na placówce AK zrobiono mi opatrunek i wyprostowano blachę w samochodzie, potem dopiero mogłem wrócić do fabryki. We wsi Niemen panował wtedy tyfus i ojciec mój powiedział w pracy, że jestem podejrzany o tę chorobę. Przez trzy tygodnie nie wychodziłem z domu. Doglądała mnie wtedy Renata Paszkowska i po miesiącu wróciłem do pracy.

W 1944 roku dalej wykonywałem swoją pracę konspiracyjną. Raz, pod samą Lidą o mało nie wpadłem z meldunkami i bronią. Dojeżdżałem do Lidy i miałem przy sobie dwie koperty, które kazano mi przekazać w mieście. Na drodze stali gestapowcy, którzy zatrzymywali wszystkie samochody na drodze. Zauważyłem stodołę, stojącą przy drodze, a przy niej ubikację. Wyszedłem więc z samochodu, zostawiając w nim dyrektora Mejrena i pobiegłem za stodołę, rozpinając w biegu spodnie. Dobiegłem do ubikacji, a tam podarłem koperty z meldunkami i razem z pistoletem wrzuciłem do dołu. Wróciłem do samochodu, zapinając po drodze pasek. Gestapowiec przy samochodzie rozmawiał z dyrektorem. Pytał się, dlaczego tak nagle zatrzymałem się. Dyrektor odpowiedział mu, że mam chory żołądek i nie pierwszy raz stawałem już na drodze. Niemiec sprawdził dokumenty i pojechaliśmy

do tartaku. Dyrektor załatwiał tam sprawy urzędowe, a ja w tym czasie pobiegłem na placówkę i powiedziałem, że zniszczyłem dokumenty oraz pistolet, ponieważ Niemcy kontrolowali samochody na drodze w kierunku Nowogródka.

Latem 1944 roku przyleciał niemiecki mały samolot i wylądował na polu. Wsiadł z niego niemiecki generał i podjechała limuzyna. Niemiec odjechał w kierunku wartowni na moście i za jakieś pół godziny wrócił..Po powrocie odleciał. Za jakąś godzinę Niemcy wysadzili w powietrze most, wieżę ciśnień i niektóre zwrotnice. Potem wsiedli w pociąg i odjechali w kierunku Lidy. Fabryka spłonęła również, ale niewiadomo było, czy została podpalona, czy też wybuchł w niej przypadkowy pożar. Przeniosłem się do Lidy, do znajomego kolejarza, u którego się ukrywałem przed NKWD. Podjąłem pracę w parowozowni i tam pracowałem do 24.X.1944 roku, do dnia aresztowania mnie przez NKWD. Cała działalność konspiracyjna była w tym czasie zawieszona, a część oddziałów AK przeszła na zachód.

Już wcześniej słyszałem, że w Lidzie były aresztowania. NKWD wzięło pod obserwację żołnierzy AK i zgarnięto ich w Lidzie jednego dnia, tego samego właśnie, kiedy aresztowano i mnie. Aresztowano nas wtedy ponad 10 osób. Pod strażą czekaliśmy na stacji na pociąg do Baranowicz. Po drodze pociąg wiozący nas, zatrzymał się na stacji kolejowej Niemen i tam doładowano jeszcze kilka osób i pojechaliśmy prosto do Baranowicz. Tam przyjechaliśmy w nocy, a po drodze ładowano jeszcze ludzi. W Baranowiczach wylądowano nas i ustawiono czwórkami. Trzeba było uklęknąć na kolana. Podjeżdżał samochód więzienny - "czornyj woron", ładowano nas do niego po 20 osób i przewożono do więzienia. Przy stacji kolejowej Niemen doładowano w grupie aresztowanych mojego znajomego Stefana Sabostę, który potem siedział ze mną w jednej celi i był razem ze mną na Syberii.

Mieszkając jeszcze w Lidzie po wkroczeniu Sowietów w 1944 roku, słyszałem jeszcze przed moim aresztowaniem, że NKWD powiesiło w Lidzie na rynku oficera AK.

Wracając do momentu mojego aresztowania, jak już wspomniałem NKWD wzięło mnie 24.X.1944 roku. Tego dnia wezwano mnie w pracy do naczelnika parowozowni. Gdy wszedłem do niego, zobaczyłem dwóch cywili oraz umundurowanego NKWD-zistę i wtedy dyrektor

powiedział, że to jest właśnie Szydłowski, wskazując przy tym na mnie. Oni od razu powiedzieli mi, że jestem aresztowany, załadowali broń i poprowadzili naprzód. Przyprowadzili mnie na stację kolejową w Lidzie, a tam w rogu było odgrodzone od reszty pomieszczenia ławkami miejsce, w którym było już ok. 12 osób, a ja dołączyłem trzynasty. Wieczorem o godzinie 10 załadowali nas do pociągu i jechaliśmy w kierunku Niemna. Przy stacji kolejowej Niemen pociąg stanął, gdzie doładowali też młodych ludzi i jechaliśmy do Baranowicz. Myśmy podczas drogi nie wiedzieli dokąd jedziemy, ale w końcu wylądowaliśmy w Baranowiczach. W Baranowiczach podjeżdżał pod nas specjalny samochód, dostosowany do przewożenia więźniów. Po 20 załadowano nas do samochodu, z tyłu siedzieli konwojenci NKWD-ziści i wożono nas do więzienia.

W więzieniu, gdy przyjechaliśmy, kazano nam kłaść się spać. Była to już późna noc. Tylko się położyłem, drzwi z hukiem otwiera NKWD-zista i krzyczy: "Szydłowski Stanisław Wacławowicz na śledztwo!". Byłem ubrany, podskoczyłem, idę na śledztwo. Postawił mi krzesło. Było dosyć zimno, bo to przecież był październik, ale na Kresach Wschodnich jest chłodniej, niż w centralnej Polsce w tym czasie. Krzesło postawił mi mój śledczy koło pieca. Widział, że byłem dosyć ciepło ubrany. Piec był napalony, więc pot mnie oblewał. Przez cały czas pytał mnie, co robiłem podczas okupacji. Więc mu na to odpowiadałem, że normalnie pracowałem w fabryce dykt klejonych. On na to powiedział, że to nieprawda, ponieważ widziano mnie podczas wojny w sztabie partyzanckim. Odpowiedziałem: "owszem może być, ale szyl-du ja tam żadnego nie widziałem, że to jest sztab. Jeździłem tam, gdzie miałem polecenie od dyrektora fabryki, czy kierownika." Nalegał: "Nie, przyznaj się. Byłeś w partyzantce." Odpowiadałem dalej, że owszem, może był to sztab, ale ja o tym nic nie widziałem, wykonywałem tylko polecenia. Okazało się, że Rosjanka, pani doktor, przebywała wtedy w sztabie, była aresztowana i siedziała w stodole. Przez szpary w ścianie stodoły zauważyła mnie, a przedtem pracowała, w 1939 roku w fabryce, więc mnie znała. Ja kategorycznie zaprzeczyłem temu, że w sztabie nie byłem.

NKWD-zista zaprowadził mnie do tego pokoiku, tam nas było 40 osób, a pomieszczenie było 4 metry na 3 metry, więc gdy

leżeliśmy na podłodze i chcieliśmy się przewrócić na drugi bok, to na komendę, bo inaczej nie było można. Tak trwało to do 20 grudnia. Tego dnia zebrał się cały sztab NKWD i każdy z więźniów musiał podpisywać swoje śledztwo. Nie chciałem podpisać tego, dlatego, że nie chcieli mi uznać tego, że jestem urodzony w Ameryce. Więc powiedziałem, że jeśli mi napiszą, gdzie jestem urodzony, to wtedy ten protokół podpiszę. Na to jeden z tych oficerów powiedział do drugiego: "smotri, Amerykaniec! Ten mu odpowiedział: "Z niego Amerykaniec, jak z mojego młotek". Dalej mówi: "Patrz, jaki on śmiały. Niczego się nie boi.". Odpowiedziałem na to, że nie mam czego się bać. Bać się musiałem Niemców, ale was się nie muszę bać, skoro jesteście naszymi przyjaciółmi. Byłem wtedy młody, a oni może podejrzewali, że mam jakiegoś bzika, że taki śmiały jestem, czy zgrywam się lub coś innego. Ja podczas śledztwa nigdy nie byłem uderzony, chociaż niektórzy przynosili nos w chusteczce. Ten major powiedział wtedy: "Ty do niczego się nie przyznałeś, ale winien jesteś. Wszystko jedno i tak cię urządzimy".

Do 28.XII. jeszcze siedzieliśmy w więzieniu, a 28 grudnia zaczęli nas w nocy wywozić. Po 20 ładowano nas do samochodu i wożono nas na stację do wagonów. Po wyjściu z samochodu, trzeba było czwórkami klęknąć na kolana i czekać na odjazd samochodu. Naokoło NKWD-ziści z psami i dopiero po odjeździe samochodu wprowadzano nas do wagonów. Były to zwykłe wagony bydłace. Okna pozakrywane, wewnątrz była tylko beczka z wodą, pieca nie było. Po 40 załadowano nas do wagonów. Nad ranem pociąg ruszył. Odśpiewaliśmy "Rotę", a oni krzyczeli i bębnil kolbami o ściany wagonów, krzycząc, że będą strzelać. I tak ruszyliśmy na Syberię.

Spisał: Robert Kuwałek. *Robert Kuwałek*
Relacja pochodzi z dn. 21.IV.1990r.

Relacjonujący obecnie mieszka w Lublinie, ul. Waryńskiego 8/21

PRZYPISY

1. Relacjonujący zapewne pomylił daty akcji na więzienie w Lidzie, która to akcja miała miejsce w 1944 roku.